Rok 1938 23 października Nr 43

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

SZLAKAMI MISJONARZY

„Idąc tedy na cały świat... nauczajcie...“

Treść słów swego Mistrza pełnią wszyscy Jego słudzy, w szczególności zaś misjonarze. To też nie ma prawie na świecie kącika, gdzieby nie dotarła ich stopa, nie ma prawie na świecie kącika, gdzieby w rolę twardą, kamienistą, nie padło z rąk ich i z serc ziarno Bożego posiewu.

Nic ich nie wstrzyma w tym apostolskim trudzie: ni żar podzwrotnikowej Afryki, ni lodowate tchnienie okolic podbiegunowych. Wszędzie dotrą i wszędzie pozostawią ślad swej pracy. Nie przerazi ich groza męczeńskiej śmierci, ni straszniejsza od niej męka nieuleczalnej, ohydnej choroby; nie przestraszy ich zawierucha szalejącej wojny, ni cisza beznadziejna lodowych pustkowi, gdzie na olbrzymich przestrzeniach zrzadka tylko posiane są ludzkie siedziby. Nic dziwnego, że wszędzie już wyrosły i groby misjonarskie, w których strudzeni pracownicy znaleźli spokój po pracach nad siły. Inni znowu, których nie oszczędziła zaraza straszliwego trądu dokańczają swych dni wśród niewymownych cierpień.

Jednym z takich nieulękłych ofiarników własnego życia — to misjonarz francuski o. Lejeune. Zaraziwszy się trądem wśród dotkniętych tą chorobą, przebywa już dwa lata w mieście Makogai na wyspach Fidżi, wśród oceanu Spokojnego, gdzie znajduje się t. zw. leprosorium czyli trędownia z nieszczęsnymi chorymi.

Niestrudzony kapłan mimo tak strasznej choroby nie ustał w swej pracy misjonarskiej i w ciągu jednego roku udało mu się 30 towarzyszy niedoli przygotować do chrztu św., a kilkunastu ochrzcić.

Trędownia makogajska liczy 568 trędowatych z pośród 25 różnych narodowości. Wśród nowoochrzczonych znajduje się jeden, który oprócz śmiertelnej choroby ciała przyniósł też ciężką chorobę duszy pod postacią wielkiej nienawiści do katolicyzmu. Tym dziwniejsze jest jego nawrócenie, a spowodowały je dwa dziwne sny, jakie go nawiedziły.

W pierwszym śnie widział statek o dwóch masztach, który zawinął do portu Makogai. Na rozpiętym żaglu widniał wizerunek Najśw. Marii Panny. W niedługim czasie miał drugi sen, w którym podziwiał jakiś piękny ogród. Gdy zdziwiony pytał o właściciela ogrodu, usłyszał odpowiedź, iż należy on do króla angielskiego, ale urządził go papież.

Długo rozmyślał nad znaczeniem snu, aż w końcu doszedł do przekonania, że piękny ogród oznacza nic innego, jak kościół anglikański, w którym nieprawnie głową jest król angielski. Postanowił zatem przejść na katolicyzm i stać się członkiem Kościoła Chrystusowego, którego głową jest Papież — ten, któremu klucze od Królestwa Niebieskiego oddał sam Zbawiciel świata.

Dziś jest najwierniejszym członkiem Kościoła katolickiego i z całą stanowczością opiera się wszelkim usiłowaniom angielskich misjonarzy, którzy chcą go odzyskać.

* * *

Najbliższa niedziela, 23 października, obchodzona będzie w Polsce, jak i w całym świecie katolickim jako niedziela misyjna dla poparcia tego wielkiego dzieła Kościoła — by miliony nieznających Boga oświetlić światłem Wiary Chrystusowej i dusze ich uszczęśliwić zapewnieniem życia wiecznego.

MURARZ

Przypatrzcie się tej budowie:
Tam na rusztowania szczycie
Stoi człowiek.
Hej!
Widzicie?
Spójrzcie wyżej!
Pod obłoki!
To mój ojciec dom buduje!
Skrzypią bloki,
Jęczą sznury,
Wapno, cegły, mkną do góry —
Mury
Wznoszą się i rosną.
Wiosną
Były tuż przy ziemi —
Na jesieni będzie dach!
To mój ojciec dom buduje!
Tam na rusztowaniu stoi,
W dłoniach trzyma młot i kielnię
I niczego się nie boi,
Chociaż mnie oblata strach.
Dom buduje,
Dom muruje,
Spisuje się arcydzielnie —
Na jesieni będzie dach.
A gdy przyjdzie mroźny grudzień,
Będą mieszkać w domu ludzie.

Stefan Themerson.

Artysta z Bożej łaski

(Ciąg dalszy).

Chociaż Czech z pochodzenia, nauczył się pan Franciszek dobrze po polsku i podobnie jak żona jego, wychowywał dzieci w duchu polskim. Sam nasłuchawszy się w domach, gdzie dawał lekcje opowiadań z historii naszego narodu, zwłaszcza z najbliższej przeszłości, jak o rozbiorach Polski, powstaniu Kościuszkowskim, wojnach Napoleońskich i t. d., gdy wrócił po całodziennej pracy do domu, opowiadał to wszystko dzieciom, rozbudzając w sercach miłość ich kraju rodzinnego.

Z największą chyba uwagą słuchał tych opowiadań mały Janek. Przejmował się nimi, wchłaniał je w siebie i one to zapewne wyrobiły w nim owo gorące przywiązanie i zainteresowanie się przeszłością Polski, tak wielką niegdyś i pełną chwały. One też stały się może dla przyszłego malarza dziejów polskich — pierwszym źródłem natchnień, jakie czerpał do swych późniejszych obrazów.

W tak gorącym sercu chłopczyka nie mogło też braknąć miłości do Boga. Zresztą rodzice sami religijni, w tymże duchu wychowywali i dziatki. Jaś bardzo często wśród zabaw przekształcał się w księdza i jako taki odprawiał niby msze św. oraz inne obrzędy, jakie widywał w kościele. Nie zdarzyło się zaś nigdy, by bez pacierza poszedł spać (a zwyczaj ten zachował do samego zgonu). Nic dziwnego zatem, że myślano, iż poświęci się stanowi duchownemu, co nawet było życzeniem ojca i rodziny.

Po śmierci matki Jaś został oddany do szkoły św. Barbary, gdzie zaznał dużo chwil gorzkich, gdyż koledzy naśmiewali się z niego, bądź to z drobnej i wątłej jego postaci, bądź z krzywego nosa, z ubogiego odzienia i t. p., nie żałując mu poszturchiwań wszelkiego rodzaju.

Po paru latach odebrano go stamtąd, a starszy brat w czasie wakacyj przygotował go do wstępnego egzaminu do liceum św. Anny. Tam uczył się bardzo pilnie, ale ponad wszystko rwał się ciągle do rysowania. Nawet podczas lekcyj nie wypuszczał z palców ołówka i słuchając nauczyciela, jednocześnie rysował wszystko, co w szkolnym życiu rzucało mu się pod oczy.

Bywały to niekiedy obrazki pełne humoru, z których jeden dochował się do dziś dnia, a przedstawia scenę, jak trzej ówcześni nauczyciele wraz z woźnymi wykonywali karę, okładając rózgami jego kolegów. Już wtedy umiał chwytać podobieństwo rysów ludzkich, to też poznać można było doskonale, kogo rysunek przedstawia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Już miał zakrzyknąć, gdy naraz błyskawicą zaświtał mu w głowie pomysł nowy.

— Puszczę go w moich rzeczach, niech sobie idzie... Ja sobie to nagrodzę... mnie się to opłaci... Ho, ho! nie powiem nikomu, że diabeł uciekł od Dawidków. Niech sobie właśnie wszyscy myślą, że on tam zamknięty siedzi. To moja tajemnica... On nawet nie wie, że spotkał tam człowieka, który dla niego tyle się namęczył, by okno w alkierzu za chlewkami wyjąć z futryny i tak założyć, że się niby trzyma, a palcem pchniesz, już wisi ino na sznurkach. Ale że on się też odważył wyłazić tamtędy, choćby i w moje rzeczy przebrany... Dziw, że go tam nikt nie widział... Ma chłop szczęście. Ale ja będę miał jeszcze większe. Przecież to wszystko potem złoży się na niego, nie na mnie.

Zaśmiał się głośno do swych łotrowskich myśli i zwolnił kroku, żeby się wydawało, iż się tylko po polach wałęsa, bo właśnie na dziesięcinie roli Michała Skidy zobaczył wypatrywaną niecierpliwie Handzię przy pieleniu zagonków z burakami i cebulą.

— O, Michałowa nie poszła do Górzec — wołał, udając zdziwienie. I zaczął córce Dawidka opowiadać, że jakiś człowiek był w Opienkach, przysłany przez Jana Wronicza z Górzec i dopytywał się o Handzię, ponieważ siostra jej bardzo ciężko zachorowała.

Michałka w płacz. Bombel zaś uspokaja, że gdyby zaraz pobiegła do Kachny, to możeby żywą ją jeszcze zastała.

A kiedy za chwilę z oczu ją stracił, zatarł ręce z zadowolenia, że Handzia oddalając się od Opienek przez pustkowia, nie dowie się o historii z diabłem, bo to mogłoby ją skłonić do powrotu ku własnej zagrodzie. A nuż ten diabeł, gotowa pomyśleć, wyciągnie ze skrzyni pieniądze przysłane przez Skidę z Ameryki.

— Pewnie, że uciekając, byłby ich nie zostawił, gdyby tak jak ja wiedział, gdzie Michałka chowa kluczyk od kłódki — powiada sobie Marcin, wracając w stronę zagrody Dawidków, by tam pod płotem gawędzić z ludźmi, jak to diabeł co na kółkach jeździ, nie może już na swoich nogach uciekać, więc musi w środku siedzieć, dopóki oni będą go pilnowali.

Ale gdy noc zapadła, poradził Marcin, by wszyscy udali, że zabrali się do domów, to oblężony drzwi otworzy, wyjrzy, i nikogo nie widząc, wyjedzie na kółkach za furtkę. A wtedy cepami go przez łeb!

Rada tak się podobała, że nikt nawet nie zauważył, kiedy projektodawca zniknął.

Tymczasem Bombel już stał pod oknem alkierza i po omacku sprawdzał, czy diabeł uciekając tędy, nie popsuł mu delikatnej roboty.

Możnaby sądzić, że nikt okna nie ruszał od czasu, gdy sam Marcin przestał koło niego manipulować, na krótko przed przyjazdem do wsi cyklisty, ale którędy wyszedł, jeżeli nie tędy. Chyba, że nie uciekał, lecz na prawdę siedzi dalej w środku...

Nie! Marcin nie mógł się omylić. Czapka, jak czapka, jego albo i nie jego... Ale bluza była Marcina. Szyję za to da, bo czy możliwe, żeby się druga taka trafiła. Że te dwie łaty fioletowe pod pachami, to nic; ale pięć palców czarnych w samym środku na plecach, jakby węglem wymalował na jasnym płótnie, to chyba w całej okolicy takiego znaku nie znajdzie.

Widzi jeszcze w myślach ten sadzą powalanej ręki żydówki w Grochowiskach, która go za bluzę złapała z tyłu, gdy uciekał z piekarni. To mój znak!

Odważył się dźwignąć okienko zawieszone na sznurkach, podniósł nogę, zawahał się, nadsłuchiwał jeszcze i wreszcie szybko przelazł, wsuwając okno za sobą w futrynę.

W ciemności było cicho, co go upewniało, że istotnie cyklisty nie zastał w chacie.

(C. d. n.).



Oto dzieci polskie ze Śląska Zaolzańskiego, które po powrocie tej ziemi do Macierzy, już nie będą musiały uczyć się we wrogiej im szkole i w obcej mowie. Szczęśliwe i radosne, jak ich rodzice i starsi bracia, walczący zawsze nieustępliwie o najświętsze prawa narodu, witają radosnymi okrzykami wkraczające na odzyskaną dzielnicę wojska polskie. Chcąc jeszcze wyraźniej okazać, że w ich piersiach biją serduszka polskie, poprzebierały się na dawnych ułanów w wysokie czaka, niby towarzysze tych, co mocnym krokiem przekraczają niedawną granicę. Inne wystąpiły w prześlicznych swoich strojach góralskich, jakie nosi lud na Śląsku, podobne do podhalańskich.

